



Abelard i Heloiza

T. Stow. Kraków

665

9

Dziennik Polski

KRAKÓW

DZ. Nr 230 02-10-2001

Na kawałku ziemi w Miniaturze nikt nie śmie zranić pięty o ziemski kamień. Mogłaby wtedy z żył wypłynąć cała prawda tych ciał. I nikt niczego nie mówi po ludzku. Tutaj już nie ma skąd wziąć takich gardel. A ży, ten wciąż jedyny język powszechnie zrozumiały? Jeśli w ogóle są, to wyciera się je szybko, ukradkiem, wstydliwie, jakby szepcząc pokątnie: a fe...

„Abelard i Heloiza” Rogera Vaillanda, ten kawałek ludzkiej, wyłącznie ludzkiej ziemi, pełnej zranionych skór, doczesnych skowytów i słonych, nieuchronnie bezradnych kropli, w Miniaturze nie dotyka sceny, choć przecież dotyka. Przeszłość Miniatury jest monstrualną michą dymu kadzidel i świec, który przez dwie godziny z hakiem dostojnie się unosi. Tu wszystko jest dymem szlachetności, który, po niewidzialnych stopniach jakichś napowietrznych schodów, pokornie stąpa ku niebiosom, ku Bogu, ku Jego długiej, siwej brodzie, pełnej dymu siwego. Co w takich razach mówi katolik? Amen.

W sztuce Vaillanda jest nieogarnione, ponure niebo średniowiecza, które w każdej chwili może zmiażdżyć doczesność, ale nie o niebo chodzi. Kilka osób skacze sobie do oczu, bo inaczej się nie da. Wilgotna skóra poluje na wilgotną skórę, aż polize wilgoć. Ciało węszy za ciałem, aż nozdrza rozsadzi zapach potu. Płeć tropi płeć, aż usłyszysz skowyt wiadomego finału. Świat Vaillanda jest rozpięty między górą a dołem. Owszem, tyle

Paweł Głowacki

Siwy brak śliny

tylko, że Vailland nie ma złudzeń. Nieogarnione, ponure niebo, to stanowczo za mało, jak na nasze skończone skóry. Legenda o miłości wielkiego filozofa i wielce inteligentnej nastolatki to dziś bardzo czcigodna legenda, to romantyczna opowieść o miłości czystej i nieskalanej dwóch serc bez reszty oddanych Bogu, czyli wieczności, alabastrowe miłowanie pod patronatem Platona.

A naprawdę było tak, jak zwykle bywa. Pożądanie w cieniu nieba, które w istocie nic tu do gadania nie ma, pożądanie prawie zwierzęce, a później równie zwyczajne, powolne obumieranie pożądania. Gorzki smak pustki na podniebieniu. Vailland wiedział o tym, jak każdy człowiek. Wiedział, że ta dzisiaj romantyczna bajka dla dzieci skończyła się jedynym zimnym cieniem noża. Wykastrowano Abelarda. Z realnej rany ciekła realna krew. I taki też jest jego „Abelard i Heloiza”. Albo inaczej jeszcze, jest jak to zdanie z „Malone umiera” Becketta. „Jeśli czuję, że jestem gdzieś brudny, pocieram to miejscem palcem zwilżonym śliną”. Tak, Bóg nie ma tu nic do powiedzenia. Nie Jego brud, nie Jego palec, nie Jego ślina.

Dlatego mówię amen. Przed premierą dyrekcja Teatru im. Słowackiego oznajmiła światu

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

coś takiego, że oto Konrad Swinarski zmartwychwstał, by tak rzec, ciałem reżyser Agaty Dudy-Gracz. Mój Boże, wybacz, że wzywam imię Twoje całkowicie nadaremnie, ale zrozumiem – mówię amen, bo Swinarski mawiał, że teatr trzeba robić głównie od pasa w dół, a tu w żyłach scenicznego świata Dudy-Gracz krąży akurat jakas bezbarwna ciecz wydumanej szlachetności. Amen powiadam, bo w gardłach jej pseudoludzi łzawo plumkają wyłącznie harfy niebieskie. Amen wrzeszczę, gdyż teatralny świat owieczki Twojej bezpowrotnie stracił umiejętność płaczu, więc nie jest już światem Twoim.

Co innego, niż amen, mogę powiedzieć na okoliczność tego fiaska? Co pięć minut niepożyczalnie nabiedzony nuty Bolesława Rawskiego purytańsko za uszy mnie tarmoszą, na kolana paść każą, by się modlić, modlić i jeszcze raz modlić. Aktorzy, jak jeden mąż, a ściślej – jak jeden nieuleczalny mnich, nawet gdy coś po naszymu powiedzieć chcą, nawet jak im się to udaje, to i tak nic z tego – czczy ich dymią mistycyzmem, tak morderczym, że ciała ich znikają w sinym woalu, a intonacja staje się niezniszczalnym wyrazem dozgonnego oddania Najwyższemu. Ileż można być na widowni sroka, co się gapi

czyk (Heloiza) mają do pokazania wyłącznie swoje prawdziwości naturalnego bycia na scenie. Prawdka to nie jest rola teatralna, moi wy drodzy. I nie jest też rolą to, co w swym Fulbertcie, kanoniku, pełnym ciemnego, starczego erotyzmu, pokazał Mariusz Wojciechowski. Czysta technika zawsze pozostanie wyłącznie ogromnym smutkiem czystej techniki. Tak jak pięćdziesiąt tłących się świec to w teatrze tylko smutny papier owej atmosfery tajemniczości. A dym kadzidel to lita sztuczność nie do zniesienia. Co ja zresztą będę się wysilał. Sos mistycyzmu jest tak wielki, że gdy Bednarczyk nagle staje przed nami nago – w nikim na widowni nie budzi to żadnej żywej myśli. A to już jest fakt miażdzący, czyli poniższe amen fundamentalne.

Wiersz Herberta o spotkaniu Spinozy z Bogiem kończy się bezlitośnie. „Spinoza zostaje sam. Nie widzi złotego obłoku, światła na wysokościach. Widzi ciemność. Słyszy skrzypienie schodów, kroki schodzące w dół”. Trzeba to samo usłyszeć, trzeba pojąć, że On to jest nasza tutaj, na samym dole, ciemność. Trzeba brudną skórę potrzeć palcem zwilżonym śliną. Bo tylko tak można być Swinarskim, czyli bezlitośnie ludzkim teatrem. Na razie życzę pani reżyser powodzenia w piaskownicy.

Teatr im. Słowackiego, Scena Miniatura. Roger Vailland „Abelard i Heloiza”. Reżyseria i scenografia Agata Duda-Gracz. Muzyka Bolesław Rawski.